

Szatan ze Wschodu

*Przyczółek zachodniej cywilizacji, którym jest klasztor sióstr urszulanek, ulega wschodniemu zepsuciu. Położony w oddaleniu od kulturowego i religijnego centrum, nie chce przyjąć i utrzymywać reguły, która w karby bierze pierwotną naturę - *w dziale „Idee” przypominamy tekst Mateusza Matyszkowicza, który ukazał się w nr 7 rocznika „Teologia Polityczna” pt. „Niech żyją fajne Niemcy!”[<http://ksiegarnia.teologiapolityczna.pl/pismo/teologia-polityczna-nr-7-niech-zyja-fajne-niemcy/>]* *



Przyczółek zachodniej cywilizacji, którym jest klasztor sióstr urszulanek, ulega wschodniemu zepsuciu. Położony w oddaleniu od kulturowego i religijnego centrum, nie chce przyjąć i utrzymywać reguły, która w karby bierze pierwotną naturę - w

dziale „Idee” przypominamy tekst Mateusza Matyszkowicza, który ukazał się w nr 7 rocznika „Teologia Polityczna” pt. „Niech żyją fajne Niemcy!”

Wyobraźnia polityczna ma przede wszystkim charakter przestrzenny. O ile koncepty filozoficzne nie muszą mieć swojej przestrzennej reprezentacji, o tyle idei politycznych nie da się oderwać od przestrzeni. Władza jako możliwość powodowania określonych skutków społecznych, czy też (bardziej scholastycznie) jako aktualizacja możliwości innych podmiotów – niewidoczna dla nikogo siła, która sprawia, że byty wychodzą ze stanu potencjalności – potrzebuje wyobrażenia przestrzennego, podobnie jak i inne siły. Siła bowiem sama nie ma przestrzennej reprezentacji, ale jej zaistnienie stwierdza się na podstawie skutków, jakie wywołała w przestrzeni.

W przypadku władzy politycznej następuje dodatkowo konkretyzacja przestrzeni. O ile bowiem siły fizyczne można ujmować poza przestrzenią nazwaną (wystarczy tylko podać tylko podstawowe warunki: im mniej, tym lepiej i bardziej elegancko), o tyle władza polityczna potrzebuje przestrzeni konkretnej. Potwierdza to już sam początek filozofii politycznej, ten moment, w którym określona forma ustrojowa została potraktowana jako koncept filozoficzny – czyli wyłożenie przez Arystotelesa nauki polityki. Zatem w tym momencie, w którym idee polityczne wydawały się odrywać od wszelkich uwarunkowań czasowych i przestrzennych, ostatecznie postawiono na nazwaną przestrzeń. Choć zatem polis Arystotelesa nie można dosłownie utożsamiać z ateńską polis, to jednak granica między tym, co helleńskie, a tym, co barbarzyńskie, jest tak naprawdę granicą

polityczności. Polityka w sensie klasycznym może być uprawiana tylko na określonym obszarze, poza którym zaczyna się stan dziki, stan przedpolityczny.

Dla wyobraźni politycznej Polaków myślących w kategoriach I RP – a te przetrwały same rozbiory i jeszcze długo organizowały wyobraźnię polityczną spadkobierców dawnego porządku – obszar barbarii był gdzieś na Wschodzie. „Gdzieś”, bo tak naprawdę jej granice nie były jasno wyznaczone. Częste zmiany tej wschodniej granicy Rzeczypospolitej, nieustanne niepokoje na tym obszarze, a wreszcie emancypacja kresowych magnatów, których wpływy przekraczały nieraz oficjalne granice i którzy z kolei sami otwierali się na wpływy z obszaru barbarii – jednym zdaniem: istnienie tego obszaru wymiany, jakiejś niepewnej przestrzeni – oto, co utrudnia wytyczenie faktycznej granicy polskiej politycznej.

Na tym pograniczu jednak zawsze dokonywały się rzeczy najciekawsze. Jeszcze w *Buncie rojstów* Józefa Mackiewicza możemy obserwować szczególny niepokój duchowy tamtego obszaru, mnożenie się najrozmaitszych sekt, kolejnych objawień i prorocत्व, i to w czasach, gdy II RP wkładała wiele wysiłku, aby te obszary ostatecznie zintegrować z centrum. Owo pogranicze jest więc miejscem, gdzie polityka styka się z teologią. Miejscem, w którym niepokój związany z zasięgiem władzy (Czy władza królewska tu jeszcze działa? Czy panuje prawo? Czy zbrodnia dokonana na kresach będzie osądzona?) łączy się z niepokojem o zasięg władzy boskiej – władzy, za którą po części odpowiedzialni są ludzie, którym Pan powierzył czynienie sobie ziemi poddaną. I jak o ziemię pogranicza walczył zachodni żywioł polityczni ze wschodnią barbarią, tak o jej dusze duchowni zmagali się z jakimś

dziwnym miejscowym żywiołem, nawet nie prawosławnym, skoro tak naprawdę nie o grecki porządek tu chodzi, ale o jakąś nieopisaną wcześniej i nierozpoznaną do końca ludowość i o diabelskiego ducha.

Władza ojca Suryna

„Szatany, jak gdyby rozwścieczone przewagami ojca Suryna, powracały z większą jeszcze mocą” – działo się tam na samych kresach Rzeczypospolitej, w czasie panowania Jana III Sobieskiego. Ludyń (taki nasz Loudun) na ziemi smoleńskiej, klasztor z opętanymi siostrami i młody egzorcysta. To *Matka Joanna od Aniołów* Jarosława Iwaszkiewicza, pisarza, który przedwojennymi *Czerwonymi tarczami* zasłużył sobie na miano polskiego Jungera, po wojnie – wciąż literacko fascynujący, ale oportunistą. *Matkę Joannę...* napisał w czasie wojny, gdy temat demonicznego opętania był szczególnie ważny. I chociaż późniejsza historiografia kładła nacisk na zachodni charakter tego zagrożenia – na jego techniczny, żelazny i mechaniczny charakter – to jednak *Matka Joanna...* wskazuje także na silne intuicje związane ze wschodnim opętaniem.

Opowiadanie nie cieszyło się uznaniem Kościoła. Silnie zarysowany dysonans między miłością boską a ludzką, między oddaniem Bogu a oddaniem ludziom, wreszcie realizm opisu, który za sprawą wyrazistości przybiera chwilami formę wręcz parodystyczną – to wszystko musiało niepokoić kościelne władze. Zwłaszcza gdy w latach sześćdziesiątych opowieść Iwaszkiewicza została przeniesiona na wielki ekran przez Jerzego Kawalerowicza. Wiernych proszono, aby unikali kin.

Sam Iwaszkiewicz, będący na bakier z ortodoksją, przyznawał się do katolicyzmu. Królowej Belgów powiedział kiedyś przewrotnie, że jest niepraktykującym katolikiem i niewierzącym komunistą. W *Dziennikach* wyznaje, że jest prawdopodobnie największym żyjącym pisarzem katolickim, ale nikt się o tym nigdy nie dowie. Zmagał się ze swoim homoseksualizmem. Interesowała go figura świętego, a zarazem pociągała go wiara nieco ciemna i trudna, co sprawiało, że tak bliski mu był Kierkegaard.

Nie jest to jednak miejsce na odprawianie egzorcyzmów nad Iwaszkiewiczem. *Matka Joanna...* to rzeczywiście dzieło o dużym ładunku religijnym – pozytywnym lub negatywnym – i wreszcie próba naszkicowania pewnej antropologii. Jednak ma ona wymiar jeszcze inny, który mnie tu interesuje. To jest wielkie opowiadanie polityczne.

Nie odczytuje się go w ten sposób, ponieważ jest w nim ukryta ponura prawda o polskiej wyobraźni politycznej.

Zatem w 1942 roku Iwaszkiewicz pisze opowiadanie o opętaniu na najdalszych Kresach dawnej Rzeczypospolitej, opętaniu w klasztorze, który w 1611 roku miała ufundować królowa Konstancja. „Pobożna królowa pewnego razu sama odwiedziła klasztor na dalekich kresach Rzeczypospolitej położony, ale trudy podróży w tak okropnych warunkach odbytej podkopały jej zdrowie i przyprawiły o długotrwałą chorobę. Zresztą, królowa pono niedobrą sobie obrała porę do podróży po błotnistych bezdrożach Smoleńszczyzny”. Zaznaczona tu tak wyraźnie odległość, której przebycie musi kosztować wiele (z

pewnością zdrowie, a może i życie), opis skrzyżowania dróg: smoleńskiej i połockiej – to wszystko wskazuje przestrzeń, która została usunięta z polskiej wyobraźni.

Polska polityczność I Rzeczypospolitej była oparta na wyobrażeniu przestrzeni nieogarnionej. Sprawa kolonizacji najdalszych obszarów, jej gospodarczego, a po trosze i kulturowego wyzyskania, ustawiała aksjologię Rzeczypospolitej. Nieogarniona przestrzeń panowała nad umysłami – jej pragnienie kierowało obywateli na wschód, co wydawało się naturalne, skoro zabrakło możliwości ekspansji na zachód i południe. Dlatego przestrzeń w polskiej wyobraźni była z jednej strony niedomknięta. Jej otwartość musiała budzić niepokój, jak uchylone okno pozostawione na noc.

Jezuita podbija Wschód

To niedomknięcie, a więc przestrzeń otwarta na ekspansję – teraz już prywatną, a nie w imieniu całej Rzeczypospolitej – było źródłem magnackich potęg, ale też szansą dla przeludnionych terenów, chociażby Mazowsza, na zdobycie kawałka ziemi dla siebie. Kresy zatem to zarówno wielkie majątki magnackie z pysznymi pałacami, jak i prawie dzicz, nasz dziki Wschód.

Na ten dziki Wschód jedzie ksiądz Suryń, jezuita i egzorcysta. Twarde spotkanie z realiami ziemi smoleńskiej odbywa się w karczmie. Tam jest chociażby zagrodowy szlachcic Wołodkowicz, który jeździ po odpustach, bo na ziemię, która i tak nie rodzi, szkoda czasu. Nieco przerysowana postać szlachcica ma skupiać w sobie główne przesłanie

tej ziemi: jałowość i duchowe spustoszenie. Nierodząca ziemia i ludzie ubodzy w cnoty, karczmiarka-wróżbitka i przede wszystkim te opętane siostry.

Tę historię można ująć w ramy modnej dziś krytyki postkolonialnej. Mamy tu bowiem wzorcowy przykład tak zwanej orientalizacji. To, co na wschód, jest określane jako dzikie i nieracjonalne. Cała artystyczna aparatura pisarza skoncentrowana jest na budowaniu nastroju tajemnicy, pod suchym z pozoru opisem ukryte są silne emocje, to nieokiełznana natura buzuje tam w podziemiach i za zamkniętymi murami klasztoru. Obraz świata jest mocno nacechowany erotyzmem, co można uznać za kolejną cechę orientalizacji. Pod płaszczykiem zachodnich obyczajów i religijnych reguł wciąż skrywa się prawdziwa natura, która woli pozostać nieokiełznana i nieograniczona racjonalnymi regułami.

I wreszcie ksiądz Suryn, człowiek Zachodu, który temu nieokiełznaniu pragnie się przeciwstawić. Jedzie tam, na ziemię smoleńską, jako egzorcysta. Jest przedstawicielem tej misji cywilizacyjnej, którą przyjęła na siebie Rzeczpospolita: misji wygnania diabłów ze swoich najdalszych wschodnich kresów. Przyczółek zachodniej cywilizacji, którym jest klasztor sióstr urszulanek, ulega bowiem wschodniemu zepsuciu. Położony w oddaleniu od kulturowego i religijnego centrum, nie chce przyjąć i utrzymywać reguły, która w karby bierze pierwotną naturę. Suryn ze zdziwieniem odnotowuje, że zakonnice wpuszczają mężczyzn w obręb murów, jedzą mięso i tańczą.

Wschodnia degeneracja

Egzorcysta walkę przegrywa. Sam tej sile ulega i przyjmuje szatana na siebie. Czyni to niejako w geście samopoświęcenia, ale dopisuje się w ten sposób do długiego szeregu ludzi Zachodu, których Wschód zdegenerował. Jego klęska to także klęska zachodniej i katolickiej misji cywilizacyjnej na smoleńskiej ziemi. Zarazem ta misja, już nieskonkretyzowana w literackim obrazie, ale ujęta najszerszej, jak to możliwe – jako jeden z paradygmatów polskiej kultury – dziś jest coraz mniej zrozumiała.

Nie myślimy już o Smoleńsku jako o Kresach Rzeczypospolitej, ale jak o ziemi zewnętrznej i obcej. Ta zmiana w kulturowej wyobraźni ma swoje konsekwencje polityczne. Smoleńsk nie jest już miejscem ekspansji zachodniego i polskiego żywiołu, ale zdaje się kwintesencją wschodniości. Czas, kiedy ten paradygmat uległ zmianie, odpowiada okresowi, w którym Iwaszkiewicz pisał *Matkę Joannę...*: ta historia z 1611 roku opisana została w czasie wojny przez pisarza z ducha i urodzenia kresowego. Był rok 1942 – i to jest właściwy czas akcji w jej duchowym wymiarze.

Rok później inny polski pisarz – Ferdynand Goettel – zostaje poproszony o podróż na ziemię smoleńską. Odwiedza go urzędnik niemieckiej propagandy, ponieważ w lesie katyńskim odnaleziono ciała polskich oficerów. Goettel ma jechać, a potem zaświadczyć. Wszystko, co stało się po świadectwie, które potem złożył, zmieniło całkowicie nasz stosunek do ziemi smoleńskiej i zapoczątkowało nowy paradygmat, w który żyjemy do teraz i którego konsekwencje ponosimy. I winna jest tu nie tyle literatura jest tu, ile twarda rzeczywistość.

Matka Joanna... jest opowieścią magiczną, tworem imaginacji autora, która odpowiada kulturowym wyobrażeniom naszego dziedzictwa. Przy całym skomplikowaniu tej historii, zamotaniu wątków religijnych i egzystencjalnych, opowiadanie zaświadcza o sile polskiej polityki i kultury. W końcu chodzi o klasztor ufundowany przez samą królową, o część jej odpowiedzialności za ziemie położone najdalej. Koniec tej misji możemy wyczuć, wysnuć z indywidualnej historii księdza Suryna, ale w sensie ogólnym, ponadjednostkowym, ona trwa wtedy w 1611 roku, poniekąd trwa też w 1942 roku w umyśle Iwaszkiewicza. Natomiast *Czasy wojny* Ferdynanda Goetla to suchy zapis polskości, która ulega duchowej i kulturowej katastrofie.

Rok później

Rozdział o roku 1943, nas tu interesujący, rozpoczyna się od opisu centrum, od obrazu Warszawy, która żyje tak, jakby wojny nie było. Goebbels stawia ją za wzór. Kwitło życie kawiarniane, powróciła umiarkowana równowaga w dostawie towarów. Chociaż książek oficjalnie się nie wydaje, antykwariaty przeżywają swój złoty wiek. Książki masowo wyprzedawane przez jednych oznaczają cenne i niespotykane zdobycze dla innych. Widoczna jest pewna dezynwolontura w stosunku do okupantów. Jeden z oficerów Kedywu brał ślub w kościele na placu Trzech Krzyży, jego żołnierscy koledzy przybyli na uroczystość w pełnym umundurowaniu. Skończyło się aresztowaniami i egzekucjami.

Właśnie w takim czasie Goetla szuka urzędnik niemieckiego Propagandaamtu, niejaki Grundman. Proponuje mu misję na Wschodzie. Goetel zgadza się wyjechać z grupą Polaków. Odbywa się najpierw spotkanie w Warszawie, w czasie którego Grundman przedstawia znany wówczas bieg wypadków. Notuje Goetel: „Relacja wygłoszona rzeczowo i bez napastliwych akcentów pod adresem Rosji, została przyjęta w milczeniu i nad stołem uniosła się na chwilę zaduma Polaków patrzących na swoje dzieje”. Wtedy coś musiało pęknąć w tych ludziach, którzy siedzieli przy stole w niemieckim urzędzie i dowiadawali się, że najdalsze kresy dawnej Rzeczypospolitej były miejscem straszliwej kaźni. Nikt z nich jeszcze nie miał szansy przeczytać opowiadania Iwaszkiewicza, ale wszyscy musieli mieć tę samą polską formację polityczną i tak samo ukształtowane wyobrażenia o politycznej przestrzeni.

Relację Goetla należy uzupełnić o dopełniające ją świadectwo Józefa Czapskiego. Na polecenie gen. Andersa, po zawarciu układu Sikorski–Majski, Czapski jeździł po Rosji, od komendanta do komendanta, dobijał się do gabinetów decydentów i szukał świadków. Jego zadaniem było odnalezienie zaginionych jeńców wojennych. Miał ich listę, nie znał ich losów. Nie przeczuwał wtedy jeszcze, co stało się naprawdę. Natomiast Goetel już wiedział – jako jeden z pierwszych Polaków. Po powrocie napisze raport do PCK i w szczegółach poinformuje władze państwa podziemnego.

Goetel jedzie na Wschód

W każdym razie wtedy w 1943 roku Goetel jedzie na ziemię smoleńską, jak czterysta lat wcześniej ksiądz Suryn. „Lądujemy w Smoleńsku w godzinach już popołudniowych” – zapisuje. Pokazują mu wykopane doły. Niemiecki lekarz opowiada o szczegółach.

Coś kurczy się w nas i drży, gdyż profesor paru ruchami noża odłącza głowę od ciała i skalpuje ją, aby wskazać na wlot kuli w tyle głowy i wylot jej ponad czołem. A teraz nożyczki tną mundur i poszukują papierów. Są.

Ten suchy opis ekshumacji w lesie katyńskim oznacza także zwrot w polskiej kulturze. Od tej pory ukrycie tajemnicy katyńskiej stanie się obsesją dla jednych. Natomiast podtrzymywanie pamięci będzie życiowym celem innych. Goetel dość szybko orientuje się w biegu wypadków, słucha bowiem sowieckiego radia. „Katyń i wszyscy w nim pochowani mieli być wyłączeni z biegu historycznych dochodzeń, a sprawa ich miała zawisnąć nad nowoczesnym światem jak mit”.

I tak to, co u Iwaszkiewicza było parabolą, duchowym opisem Kresów, stało się czymś do bólu dosłownym. Literackie diabły szalejące wokół Smoleńska nabrały ciała i rzeczywiście objawiły się na tej ziemi. Opis metaforyczny przestał być potrzebny. Zastąpiła go relacja z wydarzeń. Dawne formy ekspansji musiały zostać zastąpione nowymi. Ekspansję militarną i gospodarczą zastąpiła ekspansja moralna.

Wojna o Smoleńsk znów stała się walką o wartości cywilizacji zachodniej. Goettel opisał ją choćby w 1951 roku w londyńskich „Wiadomościach”, w artykule *Zachód i Katyń*. Pisarz odnotowuje tam, że ukrycie prawdy katyńskiej jest moralnym zwycięstwem, jakie „odniósł i odnosi ciemny zbrodniarz katyński nad całym >>oświeconym<< światem zachodnim [...]”. To jest zwycięstwo, „którego my, naiwni, romantyczni Polacy, zrozumieć nie chcemy i nie możemy”.

Jedynie prawda

„Jako pisarz narodziłem się w łagrze” – oświadczył kiedyś Gustaw Herling-Grudziński. Jest taki typ doświadczenia, który z ludzi czyni pisarzy.

Herling-Grudziński pisał oczywiście już wcześniej. Jako krytyk literacki i publicysta dał się poznać przed wojną. W jakim więc sensie łagier uczynił z niego pisarza? Być może chodziło o wypełnienie postanowienia, które znajdujemy w *Dzienniku pisanym nocą*: „Pisać tak, by zdanie było przekazem nie tylko jasnej i swobodnej myśli, lecz nieustannego napięcia moralnego, by w słowie żył całym sobą ten, kto wypowiada je jako swoją długo odważaną i cierpianą prawdę – to pociągało mnie zawsze”.

Nie chodzi więc o pisarstwo jako zawód czy zbiór technik ani o biegłość we władaniu słowem. Tu najważniejsze jest doświadczenie fundujące. Nawet jeśli pisarz nie będzie wyłącznie o nim pisał, to jednak ten

pierwotny impuls będzie gdzieś ukryty w całej dalszej twórczości.

Pokolenie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego miało jeszcze jedno doświadczenie. Katyń zmienił na zawsze i naznaczył pisarstwo całej grupy intelektualistów: by wymienić Goetla, Mackiewicza, Czapskiego.

Doświadczenie fundujące

To rzecz dziś trudna do pełnego zrozumienia. Dlaczego Katyń jest tak ważny i dlaczego wyróżnić go należy spośród licznych – często brutalniejszych – przykładów ludobójstwa z czasów II wojny światowej?

W czasie wojny i potem wszystko było jasne. Katyń jest ważny, gdyż został przemilczany. Mówienie o Katyniu ma więc charakter jakiegoś fundamentalnego odkłamywania rzeczywistości. Mamy takie poczucie, że sprawiedliwość na tym świecie osiągamy, jeżeli opieramy się na prawdzie. Dlatego mówi się, że oddać czemuś sprawiedliwość to znaczy przedstawić to takim, jakim jest. Sytuacja kłamstwa jest przede wszystkim aktem niesprawiedliwości. Dość dobrze wyczuli to autorzy klasycznych powieści kryminalnych. Tym herosom fikcyjnej detektywistyki wystarczy nieraz powiedzieć, jak się rzeczy miały, i to wystarcza jako akt sprawiedliwości. Dlatego też Herkules Poirot podejmuje się spraw z zamierzchłej przeszłości – bez nadziei na sądową kontynuację sprawy. Wystarczy mu, że prawdziwym zdaniem sami osądzimy rzeczywistość. Właśnie takiego sądu Katyń potrzebował przez cały okres komunistyczny.

Drugi powód jest ściśle polityczny. Prawda katyńska była politycznie kłopotliwa w latach czterdziestych. Jednak po rozpoczęciu zimnej wojny stała się elementem wojny informacyjnej pomiędzy dwoma obozami. Katyń był młotem na Sowiety, a te doskonale sobie z tego zdawały sprawę. Stąd surowość zapisów cenzorskich na wszystko, co wiąże się z tamtą zbrodnią.

Trzeci powód ma charakter osobisty. We wspomnieniach osób tamtego czasu często pojawia się wątek koleżeństwa. Tak Józef Czapski opisywał swoje poszukiwania zaginionych jeńców. Po tym jak podpisano układ Sikorski–Majski, gen. Władysław Anders powierzył mu zadanie odnalezienia oficerów wziętych do niewoli. Mieli zasilić tworzoną właśnie armię. Czapski przemierzał więc Związek Sowiecki wszerz i wzdłuż, poszukując jakiegokolwiek śladu. O jeńcach nie mówi inaczej jak o kolegach. W użytym w takim kontekście słowie *kolega* nie ma nic osobistego. Nie chodziło o kolegów z podwórka (choć część zaginionych była osobistymi znajomymi Czapskiego), ale tu chodzi o koleżeństwo w zupełnie innym, bardzo ludzkim, a zarazem politycznym sensie. Koledzy – oficerowie Czapskiego to współtowarzysze tego samego losu. Ich poszukiwanie, a potem, po ujawnieniu zbrodni, upamiętnianie i opisywanie to dowody wierności temu koleżeństwu.

A dziś? Sprawstwa zbrodni katyńskiej nikt nie kwestionuje. Zimna wojna odeszła w przeszłość. Pokolenie Czapskiego odchodzi. Jaki więc mamy powód do powracania i wyróżniania Katynia?

Powody są dwa. Po pierwsze, jest to zbrodnia wciąż nienazwana i taka pozostanie, dopóki nie umilkną dyskusje nad jej prawną kwalifikacją, dopóki nie zacznie się choćby symboliczny proces.

Po drugie, jest to zbrodnia niedoświadczona. Katyń wciąż nie jest włączony do naszej pamięci historycznej. Nie chodzi tu o samo podręcznikowe odnotowanie zbrodni, ale o przetworzenie przez współczesną polską kulturę tego doświadczenia, które przekazali pisarze emigracyjni. Ich odcięcie od kultury krajowej spowodowało, że Katyń został nieprzeżyty i niezrozumiany przez osoby niedotknięte tą zbrodnią osobiście.

Dopóki więc to przyswojenie nie nastąpi, nasza pamięć będzie kaleka i niepełna, a przy tym niesprawiedliwa. Zabraknie jej sprawiedliwości, ponieważ pewna ważna część naszego doświadczenia historycznego znajdzie się na zewnątrz naszej świadomości. Pozostanie jedynie suchym zapisem kalendarzowym.

Stąd pomysł na ujęcie tego doświadczenia podstawowego dla całego pokolenia emigracyjnych pisarzy w jeden cykl eseistyczny. I stąd też potrzeba confirmacji.

Iwaskiewicz

Jest rok 1960. W Londynie umiera w ubóstwie Ferdynand Goetel, osamotniony i ociemniały. Na jego pogrzeb przybywa z Polski żona. Minęło piętnaście lat przymusowej rozłąki. Ten przyjazd stał się

możliwy dzięki wstawiennictwu Jarosława Iwaszkiewicza.

Goetel był bowiem pisarzem wyklętym. Zapisy cenzorskie mówiły, że jego nazwisko nie powinno być nawet wspominane, chyba że w kontekście wyraźnie negatywnym. Wszystko dlatego, że po wojnie Goetel nie zgodził się na współpracę i nie skorzystał z szansy wyrzeczenia się katyńskiej prawdy. Wybrał emigrację. Iwaszkiewicz, chociaż wtedy, w 1960 roku, wstawił się za Goetlem, pomagając już wdowie po nim.

To był ostatni raz, kiedy skrzyżowały się drogi obu pisarzy. Jeden kierował związkiem pisarzy przed wojną, drugi – po wojnie. Obaj byli jakby nie ze swojego czasu. Wnioski, jakie wyciągali ze swojego nieprzystosowania, są przeciwstawne. I aby to przeciwstawienie zrozumieć, przywołać należy sprawę katyńską.

Jarosław Iwaszkiewicz – jak pisałem wyżej – w *Matce Joannie od Aniołów* przedstawił – świadomie lub nie, wiedząc już albo będąc jeszcze w nieświadomości – najciekawszą chyba parabolę zbrodni katyńskiej. Katyń musiał za nim chodzić.

Po wojnie odbył się proces Ferdynanda Goetla. Pisarz został oskarżony o współpracę z Niemcami. Główna jego zbrodnią było to, że pojechał do Katynia na pierwszą ekshumację i potwierdził, że masakry dokonali Sowieci.

W czasie procesu zeznawali pisarze. Dąbrowska i Andrzejewski dowodzili, że Goetel był człowiekiem porządnym, o jego współpracy z Niemcami nie można mówić – co najwyżej był nierozsądny politycznie i dlatego właśnie zrzucał na Sowieców winę za Katyń. Iwaszkiewicz przyjął inną strategię. Udawał, że o niczym nie wie, nie słyszał, żeby Goetel o Katyniu gdzieś mówił, a przynajmniej on nie pamięta. Zeznawał: „Jakiś wywiad czytałem w prasie na temat Katynia, ale czy był to wywiad z Goetlem, nie pamiętam, jak również nie przypominam sobie jego treści”. To wyznanie dość dziwne. Jak czytamy w wydanej niedawno biografii politycznej Iwaszkiewicza, którą napisał Marek Radziwon, Goetel przebywał dość długo u Iwaszkiewicza po upadku Powstania Warszawskiego. Raczej wątpliwe, by sprawa katyńska wtedy nie padła. Paść musiała.

Goetel odwdzieczył się Iwaszkiewiczowi tym samym. Spisując *Czasy wojny*, też poświadczył nieprawdę: „W ciągu pięciu lat mej działalności [...] ani ja, ani żaden z moich kolegów nie uświadczali Iwaszkiewicza, który zaszył się w swojej posiadłości podwarszawskiej, nie angażując się w żadną sprawę”. To nieprawda oczywista, ale i znacząca zasłona. Wzajemne wyrzeczenie się pisarzy ukryło przed nami jedno z najbardziej intrygujących zjawisk literackich okupowanej Polski.

Brak wzmianek o Goetlu w powojennych *Dziennikach* Iwaszkiewicza – poza ironicznym stwierdzeniem z 1957 roku, że „Czeszko jest Fredziem Goetlem Polski Ludowej”, bardzo nieliczne okazują się wspomnienia o nim przed wojną, „Goetel (okropna figura)”, to wszystko musiałoby być jakimś asekuranctwem na wypadek dostania się *Dzienników* w niepowołane ręce. Ale może i wyparciem sprawy, która dla obu pisarzy musiała być zasadnicza.

Dosłownie czy niedosłownie

Pozostała *Matka Joanna od Aniołów*, którą – zgodnie z zamysłem albo na przekór zamysłowi – czytać możemy jako opowiadanie katyńskie.

31 sierpnia 1939 roku, w upalne lato, kiedy czuć było nadciągającą wojnę, Iwaszkiewicz notuje: „Czego mi zawsze brakowało i brakuje – to precyzji, dokładności myśli, dokładności sądu. Stąd tak okropne są wszystkie moje recenzje z książek. Zawsze biorę jakiś łatwy frazes, uchwytny uszko dzieła i na tym buduję sąd, czy właściwie tylko wrażenie. Dowolność i nieuchwytność takiego sądu jest jasna sama przez się”. Oto pisarz przyłapany *in flagranti*, przyłapany na wyznaniu. Ale to wyznanie jest szczere i staje się częścią jego artystycznej wizji, nawet jeśli – jak tutaj – wydaje się obarczone jakimś poczuciem winy i naporem wątpliwości.

Rzeczywistość u Iwaszkiewicza jest mocno przetworzona. To, co zewnątrz, zostało uwewnętrznione i umieszczone w planie przeżycia duchowego. Taki też musiał być Katyń Iwaszkiewicza. Jakby na przekór temu są jednak i *Dzienniki*, i *Książka moich wspomnień*, po części też *Sława i chwała*, w których pisarz zwraca uwagę na detal, pisze oszczędnie i wiernie. Reszta jest artystyczną kreacją. I wreszcie pora na to zasadnicze wyznanie samego Mackiewicza.

Mackiewicz sprawę katyńską opisywał już w czasie wojny. Później, po ucieczce, na zlecenie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przygotował zbiór dostępnych dokumentów (który do dziś krąży, niepodpisany przez

Mackiewicza, za to ze wstępem gen. Władysława Andersa). Po zbiorze natomiast przyszedł czas na wstrząsającą książkę *The Katyn Wood Murders*.

Zanim jednak przystąpimy do lektury świadectwa, należałoby zrozumieć postawę samego autora. To, w jaki sposób przetwarza on swoje doświadczenie fundujące. W tym celu trzeba sięgnąć do paryskiej „Kultury” z 1973 roku, w której Mackiewicz zamieścił słynny artykuł *Literatura contra faktologia*.

Zaczyna się podobnie jak cytowane wyżej wyznanie Iwaszkiewicza. „Odojewski napisał powieść, która może nie jest doskonała, znam z niej tylko fragment” – tu również jest tylko fragment, Iwaszkiewiczowe „uchwytnie uszko dzieła”, pojedyncze zdania, które pozwalają sobie wyrobić sąd o całości i poświęcić mu cały artykuł. Co jednak Mackiewicz wynosi z przeczytanego fragmentu? We fragmencie katyńskiej powieści Odojewskiego, która wpadła Mackiewiczowi w ręce, znalazł on liczne niedokładności, ba, jawne przeinaczenia. Spór, jaki postanowił wszcząć, dotyczy więc tego, czy Katyń można traktować jako przedmiot artystycznej obróbki i jaka jest rzeczywista wartość szczegółu. Bo tylko w szczegółach jest prawda – tylko w nich może się odzwierciedlić. „Jestem za ścisłością – pisze Mackiewicz w najsłynniejszym fragmencie tego artykułu – gdyż wydaje mi się, że jedynie prawda jest ciekawa. Ale jednocześnie prawda jest z reguły bardziej bogata, i wielostronna i barwna, niż wykoncypowane jej przeróbki”.

Nie chodzi tu zatem tylko o uznanie pierwszeństwa prawdy historycznej przed artystyczną, jest tu coś znacznie więcej – ukrywa się za nią pewna koncepcja świata i realizmu jako sposobu jego zrozumienia. Realistyczny opis detali nie służy więc ujednoznacznieniu, ale oddaniu wieloznaczności. Krótkie i precyzyjne zdania nie wysysają rzeczywistości z barw, ale właśnie całą wielobarwność oddają.

Miejsce na kreatywność pisarza pozostaje tam, gdzie zapis historyczny jest niedostateczny. Jeśli więc nie wiemy, jakiej barwy jest koń – te barwę możemy wtedy wymyślić, ale tylko pod tym warunkiem, że będzie ona całości dopełniać, a nie ją modyfikować. Wierność szczegółowi nabiera tu znaczenia moralnego.

Moralność detali

W latach dwudziestych debiutujący Józef Mackiewicz opisywał na łamach wileńskiego „Słowa” krajobraz powojenny. Detal po detalu opisywał, jak wojna wojenne zmieniła ziemię Rzeczypospolitej. Pisał o tym, jak w miejsce zniszczonej cywilizacji wkracza dzika przyroda. Ten poetycko porywający opis powstaje za pomocą suchych wyliczeń, litanii gatunków i uwag na temat ich liczebności. Autor wymienia jeden po drugim i tak kreśli obraz suchym opisem, w którym czuć moralne napięcie bez moralnego wzmożenia. Później na emigracji *Sprawę pułkownika Miasojedowa* rozpocznie od opisu pociągu jadącego przez zamrożone ziemie. Jego wewnętrzne ciepło i zaparowane szyby – znak, że na zewnątrz jest znacznie zimniej – traktuje jako metaforę życia, które prowadzi nieustanną walkę ze śmiercią.

W szczegółach widać najlepiej to, co jest metafizyczną zasadą świata. Można dzięki nim uzyskać to, o czym pisze Herling-Grudziński: nieustające moralne napięcie.

Tekst ukazał się w roczniku Teologia Polityczna nr 7 "Niech żyją fajne Niemcy!"